

Nie było tutaj Beliny. Cedro i Chełmecki choć ze smutkiem, wyrzec się musieli zamiaru dotarcia do szwadronu. Komenda placu, na własne ich żądanie, przeznaczyła ich do wózków amunicyjnych, dowożących amunicję pod Iwangród pod komendą porucznika Grota, a połączonych z trenem porucznika Klemensiewicza.

Brzęczały szyby w oknach domostw Radomia od huku armat toczącego się boju pod Iwangrodem, ludność tamtejsza poukrywała się po mieszkaniach, przez miasto przeciągały grupy jeńców, prowadzone przez Legionistów, lub też przez armię sprzymierzoną. Na twarzach mieszkańców znać było trwogę i wyczekiwanie. Już i rannych Legionistów poczęto z pola walki transportować, tamże raniony został ciężko porucznik Karasiewicz, kapitan Żymirski, porucznik Zosik i cały szereg żołnierzy. Legioniści walczyli zaciekle, szczególną brawurą odznaczył się batalion Smigłego, a sam sztab Piłsudskiego znalazł się w ogniu pocisków armatnich i wraz z Piłsudzkim z punktu obserwacyjnego musiał się przenieść.

Na kwaterze porucznika Klemensiewicza, pomimo niepewnej decyzji walki, nastrój panował bajeczny. Sam Klemensiewicz, dodając ducha i otuchy otaczającym go oficerom i żołnierzom, nieustannie dowcipne zdania wygłaszał, rozwesalając wszystkich. Wieczorem wśród huku armat fortepian niezmordowanie pracował, tęskne słowa i melodia pieśni polskiej zlewały się z hukiem armat.

Grupa oficerów przyłączyła się do nich, rozpowiadając ciekawe wieści. Z rozmowy skorzystał Chełmecki i wkrótce przyczepiwszy się do jakiegoś oficera austriackiego, Polaka, ustawicznie mordował go, aby sprzedać konia, który się bardzo spodobał Chełmeckiemu.

— Panie drogi, konia tego nie sprzedam! To mój ulubiony koń, ocalił mi życie rączył swym biegiem.

— Dam tysiąc rubli gotówką?

— Nie, panie, ani dwa.

— Dam tysiąc dwieście rubli?

— Ani dwa tysiące! Ani trzy!

— Panie oficerze! — wtrącił przysłuchujący się rozmowie Cedro — Pan Chełmecki ma coś, co dla pana będzie miało bardzo wielką wartość.

— Cóż to takiego?

— Stara, z kutego złota, papierośnica.

— E... — odparł niechętnie Chełmecki. — To rodzinna rzecz, dla pana nie ma wartości.

— Pokaż pan, zobaczę.

Chełmecki wydobył papierośnicę, otarł ją rękawem, podał zachwyconemu porucznikowi.

— Sliczna rzecz! Cacko! Panie, robimy interes?

Zasepiło się oblicze Chełmeckiego, przez chwilę się zawahał.

— Pan — zaśmiał się oficer — chciałby mieć i konia i papierośnicę.

— Stara, jedyna spuścizna, pamiątka... droga sercu, ale pal licha... Niech idzie na ołtarz Ojczyzny! Obejrzał ją jeszcze raz, potarł nerwowo siwiejącą głowę i ugoda została zawarta.

Porucznik Klemensiewicz, siedząc przy stole, bacznie wczytywał się w rozkazy, przyniesione mu przez ordynansa.

— Cedro i obywatel Józef! — zawołał po chwili.

Wymienieni stanęli przed Klemensiewiczem, czekając na dalsze rozkazy.

— Brak koni daje się dotkliwie odczuwać. W tej chwili doniesiono mi, że w Górach Świętokrzyskich są konie i należy je zarekwirować. Udacie się natychmiast konno i przeprowadzicie rekwirunek.

— Według rozkazu!

Wczesnym rankiem ruszyli w drogę, ostro podciągając konie ostrogami, gdyż długa i nużąca czekała ich podróż. Ośmdziesiąt sześć wiorst należało w jak najkrótszym czasie przebyć i ruszyć z powrotem.

W drodze doszły ich słuchy, że pod Iwangrodem nie zbyt dobra sytuacja się wytworzyła i spodziewany jest odwrót. To samo dotyczyło armii Hindenburga operującej pod Warszawą.

Zmartwieni chcieli jak najprędzej, nie żałując koni, dotrzeć do Świętokrzyskich gór, by spełnić wydany rozkaz. Gęsto rozsiane patrole niemieckie spotykali po drodze, a tuż przy Świętokrzyskich górach zatrzymała ich placówka niemiecka, wypytując się dokąd i poco jadą, zwróciła im uwagę, że tyśiąć pięćset dragonów rosyjskich w lasach świętokrzyskich już operuje. Oficer niemiecki rozkazał im dać karabiny niemieckie, gdyż oprócz szabel i rewolwerów nie mieli innego uzbrojenia, żołnierze zaś niemieccy obficie zaopatrzyli ich w amunicję. Pomimo, że oficer nie chciał puścić ich nocą w Świętokrzyskie góry, zwawo sunęli dalej, robiąc jeszcze pięć wiorst.

Zmęczenie przemogło, konie także już z trudem szły, postanowili odpocząć we wsi, otoczonej dokoła lasami, położonej w dolinie. Wieś cała otoczona była zasiekami i rowami strzeleckimi, które podczas ostatniej walki Moskałe zostawili.

Wjechali wreszcie do wsi i zatrzymali się przed chałupą wójta. Na głośnie wołanie pojawił się gospodarz.

— Czy jest spanie i jedzenie?

— Może się znajdzie!

— Musi się znaleźć! Pieniądze zaraz otrzymacie.

Długa chwila upłynęła zanim wójt powrócił i okazało się, że wszystko było pod ręką. Chłop, przyzwyczajony do rekwizycji, nie chciał się przyznać, że cośkolwiek posiada, dopiero widok pieniędzy dodatnio wpłynął na niego. Wygląd chłopca, błyskotliwe jego spojrzenia zbudziły podejrzenia i nienfność w ułanach, tymbardziej, że wiedzieli, iż jest pełno dragonów rosyjskich w lasach, chociaż nie było wiadomym rosyjskim dragonom o ich tutaj pobytku.

Weszli do ciemnej izby, z łóżek podnieśli się ciekawie.

— W tej chwili proszę się przenieść do innej izby. Proszę nas tu samych pozostawić.

Wynieśli się z izby, gospodyni przyniosła kilkanaście ugotowanych jajek, kawał chleba, po posileniu udali się natychmiast na spoczynek. Józef ciężko legł na łóżku, natychmiast zasypiając, mimo zapewnienia i poprzedniej umowy, że czuwać będą wzajemnie. Cedro czuwał nieustannie. Szumiący las zdawał mu się być tętentem koni nieprzyjacielskich, wsłuchiwać się począł w szmer, w łada jaki podmuch wiatru, bojąc się, by chłop nie sprowadził Moskali. Długą chwilę przyczajony przy oknie przesiedział, wreszcie zdecydował się położyć do łóżka, aby znużone ciało wyprostować. Karabin nabity obok siebie położył, przy łóżku wyciągnięta szablica, sznur zwisający od rewolweru silnie okręcił koło dłoni, gotowym będąc do rozpaczliwej walki, byleby tylko żywcem nie dać się wziąć do niewoli.

Stuknęły silnie okiennice.

— Co tam? — groźnie krzyknął — kto tam?

— A to ja, panie! — chłopski głos mu odpowiedział — okiennicę zawieram.

— Jedno okno otwarte zostawić, resztę zamknąć.

Chłop pospiesznie wykonał rozkaz, poczem odszedł do izby. Cedro położył się do łóżka, a silnie podejrzywając chłopca o zdradę, postanowił czuwać.

Przeszła jedna i druga godzina. Koło północy ktoś gwałtownie stuknął we drzwi, skubel się poruszył.

— Stój! Kto tam?!

Cisza głucha zaległa w chacie.

— Stój! Bo strzelam!

— To ja, panie! — gospodyni głos dał się słyszeć — przyniosłam koc dla panów, bo to zimno bez przykrycia leżeć.

— Teraz o północy?

— Teraz se przypomniałam.

Nakrył się podanym kocem, rozmyśliwać począł nad gospodarzem, nieufność coraz większa w duszy zasiała.

— Panie wojak! Wstawaj pan! Już po ósmej, o siódmej kazał się pan budzić.

Zerwał się z posłania Cedro, w jednej chwili uprzytomnił sobie swoją nocną obawę, spojrzał na owiniętą dłoń sznurkiem od rewolweru, na twarz chłopca i mimowoli roześmiał się w duszy:

— Hm... posądzałem go o zdradę!

W parę minut później w najlepszej zgodzie zostali się z gospodarzem domu, obdarzając go sownicę.

Rekwirunek okazał się niewykonanym. Krążące dokoła patrole kozackie zmusiły ich do wycofania się z Świętokrzyskich Gór.

Z pod Iwangrodu cofały się tymczasem wojska, obydwa więc ułani dotarli do Kielc, przyłączając się do oddziału Klemensiewicza, by z nim cofnąć się do Krakowa.

STANISŁAW SŁAWIECKI.

## ŚMIERĆ SIEROTY.

FRAGMENT.

...Zamilkły ostatnie odgłosy bitewnej wrzawy.

Lekki wiatr szum drzew niósł z dali, kołysał zieleni traw, do ucha szeptał wiośniany śpiew...

Pachniało polne kwiecie, uśmiechał się błękit nieba... Zaszumią kwiatów pole, zaszepotało...

Nie żal ci życia, chłopcze młody?... Nie żal ci zielonych pól, wiosny cię nie nęci czar?

Czy ty słyszysz, jak bór szumi, czy ty słyszysz szmer strumieni?

Patrz, jak rosa drży wśród kwiecia, barwną tęczę nęci oko, jak się śmieje świat wokół; patrz, jak wszystko pokraśniało od wschodzących zórz promieni...

Zycie woła!...

Ani głową ruszył młoda, ani oczu nie otwierał... Pierś się tylko poruszała, ostatnie wydając tchnienie, a na ustach uśmiech osiadł zagadkowy.

Zycie woła.. do radości?... szczęściem się do mnie uśmiecha? Ej, zamilczcie polne szepty — nie dla mnie radość życia, nie dla mnie szczęścia śmiech. Cicha śmierć wśród traw zieleni, to jedyna radość ma, więcej szczęścia... to nie dla mnie!

...U dziecięcej mej główki smutek pieśń zawodził, a młodości tęskne lata... wspominać mi szkoda!

Orle śniły mi się skrzydła, szczęście, sława... przeminęła moja młodość, przeminęły sny młodzieńcze, a została pustka, jeno... pustka w duszy, w sercu pustka...

Wkoło pusto, szaro, smutno... świat mi przybladł i spochmurniał...

Cichy, lekki wiatr zaszumił, pełną wonią go otoczył, traw zielenią pieścił skronie...

Rozmodlone w ciszy pola, w jego skargę się wsłuchały, żalem drżały drzewa liście...

W dali, strumień szloch swój tłumiąc, wśród kamieni sączył wody... nasłuchiwał, pytał szemrząc, lecz daremnie...

Ledwie życiem wargi drżały, ledwie, ledwie serce biło.

Zaszumią kwiatów pole, zaszepotało...

„Nie żal ci życia, chłopcze młody... nie rwie cię do życia tęsknota?...”

Nie żal ci słońca, nie żal ci młodości... niczego? Nic nie zostawiasz... nikt po tobie nie zapłaci, nikt za tobą nie zatęskni?...

Słyszysz życia pieśń poranną, ptactwa świergot... dziewcząt śpiewy...

Może która z nich za tobą myśla, goni, może oczy wyplakuje i czeka cię, czeka...

Ojciec, matka, siostry, bracia“...

Dwie łyzy wielkie, kryształowe w oczach mu zabłyśły... migotają, drżą i płoną...

„Nie — szeptają blade wargi — nikogo nie miałem! Ani ojca, ani matki, ani siostr, ni braci... nikt mi w życiu serca nie dał, ni dobrego słowa...”

Słońce rankiem smutek niesło, księżyc żal, tęsknotę; ani wiosna, ani zima... ani letnia noc pieściwa...

Czego pragnąć?... Za czem tęsknić?... Cicha śmierć wśród traw zieleni, to jedyna radość moja“...

Nic więc z życia nie unosisz...

„...W piersi mojej, krwią zalanej... stał przysiadła głucha... ona ze mną“...

Zamilkły pola na chwilę, oniemiały...

Lekki, ranny powiał wiatr, kwietnym go zasypał puchem i ze zbłądłych ust żołnierza ostatnie uniósł tchnienie, w dal...

